

Wojciech Bonowicz: Miłosierdzie i „Solidarność”. Wokół „Alfabetu duszy i ciała” ks. Józefa Tischnera

Tischner pozostanie fenomenem, w którym połączyły się pobożność inteligencka i pobożność ludowa. Nie było w tym żadnej sprzeczności, choć czasem w żartach przeciwstawiał rozczulającej się nad sobą i dzielącej włos na czworo religijności inteligenckiej surowość i prostotę, która charakteryzowała religijność wsi, zwłaszcza religijność górali – mówi Wojciech Bonowicz w rozmowie z Albertem Mazurkiem.

Albert Mazurek („Teologia Polityczna”): Wydany w tym roku *Alfabet duszy i ciała* to zmieniona wersja *Alfabetu Tischnera*, który ukazał się 6 lat temu. Jaka relacja zachodzi między tymi książkami?

Wojciech Bonowicz (redaktor książki *Alfabet duszy i ciała*): *Alfabet Tischnera* był sporym sukcesem wydawniczym, jego forma, dzięki której można w przystępniejszy sposób zapoznać się z tą dość oryginalną myślą, została zaakceptowana przez czytelników. Z czasem zauważyłem jednak, że rośnie zapotrzebowanie na Tischnera jako kogoś, kto ma nam coś do powiedzenia w bardzo praktycznych sprawach, jak życie codzienne, nasze wybory, nasze relacje, także – nasz stosunek do polityki.

Przygotowując nowe wydanie, pomyślałem, że trzeba nieco zmienić porządek: wycofałem hasła poświęcone różnym osobom, które dla Tischnera były ważne, jak Kołakowski, Turowicz, Kępiński, ale też siostra Faustyna czy ojciec Kolbe, a zostawiłem hasła dotyczące podstawowych pojęć, powiedzmy, egzystencjalnych (ale też teologicznych i innych). Niektóre z haseł skróciłem, dzięki czemu książka stała się nieco szczuplejsza, oraz wprowadziłem trzy nowe – „słowo”, „demokracja” i „patriotyzm”. „Patriotyzm” wprowadziłem w miejsce hasła „ojczyzna”, chcąc w ten sposób zasugerować, z czym mamy dziś większy problem.

Po pierwszych reakcjach widzę, że książka ta jest czytana tak, jak została pomyślana – przede wszystkim z perspektywy tego, co dzieje się dzisiaj ze światem, z Polską, z Kościołem. Tischner jest nam potrzebny jako spojrzenie przez nieco inne okno na rzeczywistość, która nas otacza.

Chciałbym nawiązać do odczytywania Tischnera dzisiaj. W czym upatruje Pan szczególnej aktualności jego myśli?

Trudno mi na to pytanie odpowiedzieć. Sądzę, że jest po prostu bardzo wielu ludzi, którzy próbują aktualizować Tischnera w swoim życiu – żyć jego myślą, inspirować się nią. Niedługo minie 20 lat od jego śmierci, a jego myśl wciąż w ten czy inny sposób przedziera się do świadomości kolejnych osób. Być może dlatego, że Tischner łączył w sobie dwa, szczególnie ważne w Polsce, aspekty: myślenie filozoficzne i refleksję nad życiem publicznym z byciem księdzem, który poważnie traktował

swoje kapłaństwo. Powiedziałbym, nieco żartując, że w obu tych dziedzinach miał zauważalne osiągnięcia – zarówno pełne kościoły, jak pełne sale wykładowe.

Powiedział Pan, że Tischner był jednocześnie księdzem, ale także obserwatorem życia publicznego. W rozdziale poświęconym demokracji zarysowana jest między innymi relacja demokracji do katolicyzmu, czy szerzej do religii. Co Tischner może nam powiedzieć o tych dwóch rzeczywistościach?

Nie chciałbym za Tischnera formułować żadnych tez, ale wydaje mi się, że w rozdziale, o którym Pan wspomniał, jest kilka myśli, które warto rozważyć. Tischner zwraca np. uwagę na coś, co może jest oczywiste, ale nigdy dość o tym przypominać: że demokracja jest ustrojem, którego ludzie muszą chcieć. Obywatele muszą chcieć rozwiązywać rozmaite konflikty (skądinąd nieuchronne w każdym społeczeństwie) w sposób demokratyczny.

Słowo – jak to ładnie ujmuje przysłowie – wyleci ptakiem, a wróci kamieniem.

Inne ustroje, zwłaszcza autorytarne, przyjdą do nas, czy będziemy tego chcieli, czy nie.

A demokrację trzeba

wybrać i trzeba o nią dbać. Co to znaczy dbać? Przecież nie chodzi o to, by wykazywać innym, że brak im takiej czy innej cnoty, co każdemu człowiekowi przychodzi z łatwością; chodzi raczej o to, żeby pielęgnować w samym sobie przyjaźń *demosu* – być kimś, kto rzeczywiście szanuje zdanie innych, kto w relacjach z innymi

zachowuje pewne obyczaje, które nazywamy kulturą demokratyczną, a także dba o demokratyczne instytucje. W samym sobie! Myśl Tischnera jest samozwrotna, to niezwykle ważne.

Tischner potrafił zresztą stawiać demokracji pytania. To niewątpliwie paradoks, pisał, „że Hitler został wybrany w sposób demokratyczny, a Jan XXIII (i inni papieże) w sposób raczej odbiegający od ideału klasycznej demokracji”. To kolejna jego „wrzutka”, o której warto przez chwilę pomyśleć. Demokracja potrzebuje czegoś, co będzie ją ożywiać, a co nie pochodzi z wyboru demokratycznego, lecz na ogół z innego autorytetu. A równocześnie Tischner miał głębokie przekonanie, że przy wszystkich swoich mankamentach i błędach, demokracja daje najlepszy wyraz temu, co nazywamy godnością osoby. Że jest emanacją tego, co w człowieku godne.

Oczywiście, można powiedzieć, że demokracja to system, w którym ujawniają się także nasze ciemne strony, jak na przykład niechęć do ludzi o odmiennych poglądach. Demokracja jawi się często jako permanentny spór, którego nie sposób rozstrzygnąć. W tym kontekście Tischner mówił, że kluczowe jest założenie, iż każdy, nawet ten, kto głosi antydemokratyczne poglądy, ma w gruncie rzeczy dobrą wolę, o ile tylko nie posuwa się do użycia przemocy.

**Wspominał Pan o jeszcze jednym nowym haśle – o „słowie”.
Nazywa je Pan jednym z najważniejszych i najbardziej
aktualnych. Dlaczego?**

Mam głębokie przekonanie, że żyjemy w czasach, w którym trzeba szczególnie zatroszczyć się o to, co dzieje się ze słowami. Często zwracamy uwagę, że jeden czy drugi polityk użył zbyt dosadnego określenia; mamy wtedy okazję do poprawiających nasze samopoczucie potępień. Ale kryzys, moim zdaniem, jest głębszy.

*Język telewizyjnego sporu
przenosi się do życia
rodzinnego. To bardzo
przygnębiające, powinno być
odwrotnie – powinniśmy
raczej „urodzinniać”
przestrzeń publiczną.*

Oczywiście, widać go
głównie na górze, w
życiu politycznym.
To smutny paradoks,
że ciągle w języku
funkcjonuje
wyrażenie „język
nieparlamentarny”,
jakbyśmy uważali
parlament za

miejsce, w którym pilnuje się języka. Niestety, dziś w parlamencie można powiedzieć wszystko, tamy puściły. Dlaczego tak się stało, długo by wyjaśniać. Jedną z przyczyn jest na pewno ogromna inflacja słów. Z nią wiąże się przekonanie, że jak się czegoś nie powie dostatecznie mocno, to nie zostanie się usłyszanym. A „mocno” znaczy: świadomie łamiąc obyczaje. Myślę jednak, że ważniejsze od tego, jak słowo wygląda w gazecie, jest to, co dzieje się z nim na poziomie ulicy czy rodziny. Z przykrością obserwuję, że język telewizyjnego sporu, dyskusji politycznej w studio, przenosi się do życia rodzinnego. To bardzo przygnębiające, powinno być odwrotnie – powinniśmy raczej „urodzinniać” przestrzeń publiczną.

Co na ten temat mówił Tischner?

Tischnerowi można postawić różne zarzuty, ale na pewno nigdy nie przekraczał granicy stosowności i kultury słowa. To bardzo ważna sprawa, bo słowo – jak to ładnie ujmuje przysłowie – wyleci ptakiem, a wróci kamieniem. Chwała Bogu, że te kamienie, póki co, nie wybijają zbyt wielu szyb, ale nie jesteśmy w stanie powiedzieć, czy nie pozostawiają jakichś sińców na duszy ludzkiej. Tischner pisze, że „spotykamy się z przejawami nietolerancji, jednak nie na zasadzie, że strzela się do drugiego człowieka, lecz opisuje się go takimi słowami, że one same są pewną formą przemocy”. To celne spostrzeżenie: niby nie ma egzekucji, ale słowa zostają tak dobrane, żeby ugodzić boleśnie przeciwnika, ośmieszyć go, sprawić, żebyśmy stracili do niego resztki szacunku i zaufania.

W *Alfabecie* hasło poświęcone „słowu” zaczyna się od ciekawego fragmentu. Podczas kazania wygłaszanego na Podhalu Tischner cytuje sformułowanie jednego z żydowskich filozofów dialogu: „Słowo jest ważniejsze od krwi”. To zdanie jest bardzo piękne, wręcz poetyckie (wiadomo, że Tischner lubił metafory), a mówi coś niezwykle prostego i głębokiego zarazem: że to dopiero słowo może powiedzieć nam, jaki jest sens naszych ofiar, naszych wyborów. Bez słów nasze czyny są nieme, niezrozumiałe. Nawet męki Chrystusa nie zrozumielibyśmy, gdyby nie słowa wypowiedziane przez Niego na krzyżu. Refleksja Tischnera ma zmobilizować nas do tego, żebyśmy zadbali o słowa, przywrócili im pewien ciężar.

Mówi Pan o polaryzacji, która także dziś – może nawet z większą intensywnością – jest obecna w życiu politycznym. Można odnieść wrażenie, że była ona jedną z przyczyn, dla których Tischner

zachował dużą rezerwę do ruchu „Solidarności”, czy szerzej obozu postsolidarnościowego po 1989 roku.

Powiedzmy sobie szczerze, środowiska, które wyszły z ruchu solidarnościowego zaczęły się wzajemnie zwalczać – i to niesłychanie bolało Tischnera. On był wewnątrz tych podziałów, ale jednocześnie – jako autor *Etyki solidarności* – miał poczucie rozmycia czy nawet degradowania się tego etosu, który wcześniej opisywał. Wydawało mu się, że coś z owoców Sierpnia '80 uda się przenieść do wolnej Polski. Choćby postawę: „Jedni drugich ciężary noście”. Czy był naiwny? Może konflikty były nieuchronne? Tego nie umiem ocenić. Ale wiem, że było to dla niego bolesne.

Wróćmy może do lat 80., po narodzinach „Solidarności” Tischner podjął się opisanie doświadczenia rodzącego się ruchu społecznego, nazywa ją „wspólnotą nadziei” czy „solidarnością sumień”. Jak Pan sądzi, co było dla niego rdzeniem „Solidarności”?

Po pierwsze, wraz z pojawieniem się „Solidarności” wielu ludzi poczuło, że są wolni, nie muszą dalej udawać. W komunizmie najgorsze – oczywiście, oprócz prześladowań i innych sposobów uprzykrzania życia ludziom, którzy się władzy nie podobali – było to, że nie można było w swobodny sposób wyrazić tego, kim się jest, co się myśli, jakie ma się pragnienia. Chciałeś budować, powiedzmy, bibliotekę, a musiałeś budować socjalizm, bo trzeba było wobec władz jakoś tę ideę biblioteki uzasadnić. Chciałeś być aktywny w samorządzie, ale szybko odkrywałeś, że samorządność jest tylko pozorem samorządności. Nagle przyszedł Sierpień, maski opadły, ludzie poczuli, że nie trzeba już grać

(jak to mówił Tischner) cudzych ról. Miałem 13 lat, kiedy wybuchła „Solidarność”, i dobrze pamiętam to uczucie. Niby nic się nie zmieniło – ulica, szkoła wyglądały tak samo; ale nagle obudziłem się w zupełnie nowym świecie.

Homo sovieticus to pewien fenomen, który może objawiać się w różnych okolicznościach i w każdym, kto przez pewien czas żył w komunizmie.

Tischner podziwiał w ludziach „Solidarność” to, że byli gotowi na heroizm, potrafili wznieść się ponad osobisty interes. Niektórzy potracili

rodziny, zrujnowali sobie życie osobiste – co może nie jest piękną stroną „Solidarność”, ale wiele mówi o tym, jakie były motywacje. Ludzie wiedzieli, że istnieje wspólny cel, którym jest nie tylko przeciwstawienie się komunistom, ale stopniowe poszerzanie pola wolności wewnątrz bloku socjalistycznego. Tischnerowi było żal, że niecałą dekadę później nastąpiła „wymiana heroizmu na tupet” – skupienie się na partykularyzmach i zatracenie całościowego obrazu.

Mam wrażenie, że do opisu tych partykularyzmów Tischner wprowadził kategorię *homo sovieticus*, człowieka zniewolonego – także materialnie – przez komunizm, który buntuje się przeciwko niemu i oczekuje, że nowy system zaspokoi jego potrzeby.

Homo sovieticus u Tischnera to specyficzna kategoria.

Nieporozumienie często polegało na tym, że interpretowało się słowa Tischnera jako wskazanie, że *homo sovieticus* jest w konkretnym człowieku, partii czy związku zawodowym. Tymczasem *homo sovieticus* to – mówiąc językiem filozofii, którą Tischner cenił – pewien fenomen, który może objawiać się w różnych okolicznościach i w każdym, kto przez pewien czas żył w komunizmie. Ów fenomen objawia się choćby wówczas, gdy kierujemy się pokrętną etyką, polegającą na tym, że się nie mówimy prawdy, bo w danej sytuacji nie jest to opłacalne. Albo w tym, że obywatele patrzą na państwo jak na rzeczywistość, wobec której nie mają żadnych zobowiązań, za to mogą się czegoś od niej domagać.

Czy myśli Pan, że poprzez używanie tego pojęcia, Tischner próbował uzasadnić swój zawód „Solidarnością” po przemianach społeczno-gospodarczych z 1989 roku?

Kiedy Tischner użył tego określenia po wyborach prezydenckich w 1991 roku, jego głos był przede wszystkim ostrzeżeniem. Wyborcy, przypomnę, masowo poparli wtedy Stanisława Tymińskiego – człowieka znikąd, z dziwnym programem, a przede wszystkim z całym zestawem obietnic – który wygrał w pierwszej turze z Tadeuszem Mazowieckim. To nie był „rewanż” Tischnera na społeczeństwie (choć tak to niektórzy odczytali); wręcz przeciwnie, sądzę, że to była próba ostrzeżenia przed tym, żeby nie budować nowej Polski na resentymentach.

Tischner miał kontakty w środowiskach robotniczych, znał dobrze wieś, nie tylko Podhale, widział, że niecałe dwa lata po upadku komunizmu wśród ludzi zaczął się rodzić wewnętrzny opór oparty na resentymencie. Tu i ówdzie słyszało się, że przecież za tej komuny nie był tak źle, że problemy zaczęły się dopiero, kiedy upadła... Ludzie szybko zapomnieli, jak wyglądały wcześniej zakłady pracy, jak wyglądało rolnictwo.

Inna sprawa to losy samej „Solidarności” jako związku zawodowego. W pewnym momencie słowo „solidarność” znalazło się w nazwie ugrupowania politycznego [Akcja Wyborcza Solidarność – red.]. Tischnerowi bardzo się to nie podobało. Uważał, że kiedy słowo ważne dla całej wspólnoty staje się częścią teatru politycznego, to w jakiś sposób się degradowuje. Można je wykorzystywać w walce politycznej, mówiąc na przykład, że jest się jedynym spadkobiercą tradycji, którą ono symbolizuje. Tischner rzadko bywał ostry, ale w tej sprawie był ostry wyjątkowo: uważał, że nie należy ludzi w ten sposób szantażować.

Mam wrażenie, że dochodzimy do pewnego napięcia, które mogło dotyczyć także Tischnera – opierającego się z jednej strony o pewien paradygmat liberalny, z drugiej zaś obdarzonego wrażliwością społeczną cechującą ruch „Solidarności”, w którym był głęboko zakorzeniony.

Tischner na pewno nie był liberałem. Byłem kiedyś na sesji naukowej, podczas której prof. Ryszard Legutko (zresztą chętnie przy różnych okazjach demonstrujący swą niechęć do Tischnera) stwierdził, że

Tischner uchodził za liberała, ale nie miał nic wspólnego z klasycznym liberalizmem. Myślę, że to prawda. Tischner w niektórych tekstach próbował wyjaśniać, czym jest liberalizm i jakie ma znaczenie w życiu społecznym oraz w ekonomii, ale ważniejszy był jednak dla niego katalog cnót solidarnościowych: współpracy, poświęcenia, gotowości przedłożenia interesu innych nad własny. Cenił sobie samorządność, wspierał wszelkie ruchy zmierzające do przenoszenia władzy z góry na dół. Szło to bardzo ciężko, nawiasem mówiąc – ciągle mamy z tym problem.

Skąd zatem poparcie Tischnera dla planu Balcerowicza?

Bo Tischner nie był też antyliberałem, drażniło go, kiedy liberalizm bywał przedstawiany jako synonim wszelkiego zła. Wziął w obronę Balcerowicza, kiedy posypały się nań gromy dosłownie za wszystko. Przypuszczam, że Tischnera denerwował sam fakt, iż to, co z takim trudem budowano po latach niesuwerenności, jest od razu krytykowane, i to w taki sposób, jakby Polskę spotkało największe nieszczęście w historii. Można symbolicznie powiedzieć, że Tischner w latach 90. sytuował się gdzieś między Balcerowiczem a Kuroniem, jak zresztą większość z nas, ludzi związanych z „Tygodnikiem Powszechnym” i „Znakiem”. Z dzisiejszej perspektywy można powiedzieć, że nie wszystkie nasze ówczesne wybory były trafne, ale nie dam sobie wmówić, że w większości były złe. Doskonale pamiętam, jak wyglądała Polska w latach 80.

Tischner przez lata prowadził polemikę z marksizmem, głównie z jego antropologią i filozofią pracy. Kiedy rozpoczął się proces transformacji, zdawał sobie sprawę, że wielu ludzi zostało ukształtowanych przez

*Tischner nie był
antyliberałem, drażniło go,
kiedy liberalizm bywał
przedstawiany jako synonim
wszelkiego zła.*

tamten sposób
myślenia, nawet jeśli
nie byli tego
świadomi. Chodzili
przecież na
uniwersytety,
słuchali wykładów z
filozofii
marksistowskiej,

pisali prace z socjalistycznej ekonomii. Głów w ten sposób
napęcznionych nie da się tak łatwo opróżnić. Niektórym wydawało się,
że po dokonaniu rozliczeń, czyli po usunięciu z urzędów byłych
funkcjonariuszy (co zresztą udało się tylko częściowo), nastąpi
dekomunizacja. Tischner widział to inaczej, interesowało go przede
wszystkim to, co działo się na poziomie organizacji pracy i stosunku do
niej. W socjalizmie przyzwyczailiśmy się, że praca ludzka jest dość
powszechnie marnowana, a płaca nie ma nic wspólnego z rezultatami.
W latach 80. pracowałem w czasie wakacji w fabryce. Roboty miałem na
dwie godziny (na tyle wystarczało materiału), a wypłatę dostawałem za
osiem. Było w tym coś głęboko niemoralnego. Czuło się, że
uczestniczymy w jakiejś wielkiej fikcji. Tischner uważał, że Balcerowicz
przyszedł, żeby zerwać tę zasłonę.

**Chciałbym poruszyć wątek, który nie został ujęty w *Alfabecie* –
rozumienie miłosierdzia przez Tischnera. Po koniec lat. 90 ks.
Tischner publikuje w „Tygodniku Powszechnym” dwa eseje
poświęcone siostrze Faustynie Kowalskiej, potem wydaje książkę
Drogi i bezdroża miłosierdzia. Skąd u Tischnera to
zainteresowanie *Dziennikiem* Faustyny Kowalskiej, jej
pobożnością i mistyką?**

Wiem, że Dariusz Karłowicz, choć niespecjalnie sympatyzował z Tischnerem, był (i chyba jest nadal) bardzo poruszony zwrotem Tischnera w stronę Faustyny. Ten zwrot, powiedzmy to otwarcie, był trochę sprowokowany, dlatego że wspomniane teksty powstały na zamówienie. Ówczesny proboszcz Łagiewnik oraz kardynał Nycz poprosili ciężko chorego Tischnera, żeby spróbował napisać filozoficzną interpretację fenomenu Faustyny i jej objawień. Zadanie było dość karkołomne, bo przecież idea Miłosierdzia Bożego to nie jest temat dla filozofów. Ale samo pojęcie „miłosierdzia” już tak – i Tischner znalazł oryginalny sposób na interpretację tego, co można znaleźć w *Dzienniczku*. Sięgnął po myślicieli, dla których pojęcie miłosierdzia było istotne albo jako część ich własnego światopoglądu (jak u Robespierre'a i innych rewolucjonistów), albo jako coś, co należy przewyciężyć (jak u Nietzschego). Książeczka o Faustynie, w której ta skromna zakonnica spotyka się z Robespierre'em i z Nietzschem, to fenomen na skalę światową! Co ciekawe, nawet siostry z Łagiewnik powiedziały mi, że to najpiękniejsza książka na temat jej objawień.

Wróćmy może do *Dzienniczka*, którym zainteresował się Tischner, a który jest przyjmowany z rezerwą w środowiskach inteligenckich.

Faustynę czytano wcześniej głównie „pobożnościowo”, bo tak zresztą napisany jest *Dzienniczek*. Tischner zetknął się z nim w szczególnym momencie: zmagął się z chorobą nowotworową, doświadczając z jednej strony uporczywego bólu, a z drugiej – niezwyklej dobroci i czułości ze strony rodziny, pielęgniarek i lekarzy. Te wszystkie pojęcia, którymi tak łatwo i często bezrefleksyjnie obracamy – dobroci, miłosierdzia, pokoju – w tym doświadczeniu otrzymały konkretne ludzkie twarze. Myślę,

że to zdecydowało o sile jego książki. Tischner powiedział kiedyś, że od Faustyny uczymy się, żeby być miłosiernymi nie tylko dla innych czy dla samych siebie, ale nawet dla Boga. To bardzo mocne zdanie. Widocznie doszedł do takiego momentu, w którym trzeba było w pewnym sensie „wybaczyć” Panu Bogu to, co w życiu było nie do zniesienia...

Podobno, gdy w 2000 roku Tischner umierał, na stoliku obok jego łóżka leżał obrazek Jezusa Miłosiernego.

Zdaje się, że włożono go nawet do jego trumny. Ale sądzę, że spotkanie Tischnera z siostrą Faustyną było w gruncie rzeczy przygotowywane od dawna. W jego filozofii, ale też w jego sposobie bycia było coś prawdziwie miłosiernego. Nie bałbym się wręcz powiedzieć, że Tischner był człowiekiem, przez którego – jeśli tylko się chciało – można było zobaczyć miłosiernego Boga. Nie dlatego, że prowadził jakąś wielką organizację charytatywną. Nie. Tu chodziło o coś innego – o to, jakim człowiekiem był na co dzień, czemu się poświęcał, z czego rezygnował, jak traktował ludzi, którzy szukali u niego pomocy.

Tischner powiedział kiedyś, że od Faustyny uczymy się, żeby być miłosiernymi nie tylko dla innych czy dla samych siebie, ale nawet dla Boga.

W *Alfabecie* jest fragment, w którym Tischner mówi, jaka jest różnica między filozofem a kapłanem. Filozof jest myślicielem, kimś, kto pokazuje

drogę, a kapłan jest przede wszystkim świadkiem. Otóż Tischner był dla mnie świadkiem, że Bóg jest miłosierny. Był w nim rodzaj wewnętrznej piękna, którego nie boję się nazwać miłosierdziem.

W trakcie naszej rozmowy wielokrotnie podkreślał Pan, że Tischner był blisko ludzi – górali z Podhala, ale nie tylko; z drugiej strony uchodził za typowego wręcz inteligenta. Czy mógłbym, kończąc naszą rozmowę, poprosić o rozwinięcie tego wątku?

Tischner pozostanie fenomenem, w którym połączyły się pobożność inteligencka i pobożność ludowa. Nie było w tym żadnej sprzeczności, choć czasem w żartach przeciwstawiał rozczulającej się nad sobą i dzielącej włos na czworo religijności inteligenckiej surowość i prostotę, która charakteryzowała religijność wsi, zwłaszcza religijność górali.

Nigdy nie stał się kapłanem tylko dla inteligencji. Mamy wybitnych duszpasterzy inteligencji, którzy mogliby mieć problem z wygłoszeniem kazania w Łopusznej, gdzie do kościoła przychodzą ludzie pracujący na roli, szyjący buty, wyprawiający skóry albo ściągający drzewo z lasu. Dla Tischnera przejście z jednego świata do drugiego nie było żadnym problemem.

I to również jest w nim fascynujące. Po konferencji naukowej w Castel Gandolfo, podczas której rozmawiał z najwybitniejszymi umysłami współczesnego świata, był w stanie – na mszy w Łopusznej czy na

Tischner nie zachwycał się samymi pojęciami. Widział za nimi ludzką rzeczywistość – i brał za nią odpowiedzialność.

polanie pod
Turbaczem –
opowiedzieć góralom
o tym, czego się od
nich dowiedział. I to
opowiedzieć
językiem dla nich
zrozumiałym –

prostym, obrazowym, odwołującym się do podstawowych doświadczeń życia.

Intelektualiści mają często skłonność do odrywania idei od doświadczeń. Tak zafascynują się pewnymi myślami, że myśli te tracą w końcu twarz. U Tischnera nigdy tak nie było. Nawet jeśli niektóre jego teksty wydają się nieco abstrakcyjnie, to trzeba pamiętać, że to, o czym pisał, gdzieś w tle miało konkretną ludzką historię, było kierowane do konkretnego człowieka. Tischner nie zachwycał się samymi pojęciami. Widział za nimi ludzką rzeczywistość – i brał za nią odpowiedzialność.

Rozmawiał Albert Mazurek.

Wojciech Bonowicz jest autorem wstępu i redaktorem książki Alfabet duszy i ciała ks. Józefa Tischnera, która ukazała się nakładem wydawnictwa Znak w 2018 roku.